

Janina Łagoda

Powinnością parlamentarnych zwycięzców winny być czyny ukierunkowane na zasypywanie społecznych wykrótów, których bez liku sprokurowała tzw. zjednoczona prawica, i ten nawyk u niej pozostał. Niepokoi to, że wygrani bezwiednie wydają się im w tym pomagać, m.in. przez sekowanie posiadania przez pokonanych wicemarszałka sejmu, w rozdziale komisji sejmowych i ich składu, nadmierne odgrążanie się rozliczeniami etc. Trąci to trochę zemstą i wchodzeniem w buty poprzedników, a już na pewno nie jest to dobry start ku koncyliacji. Mając parlamentarną przewagę można w dogodnej chwili dokonać korekty wcześniejszych gestów, a to stępiłoby pisowską strategię bycia w jątrzącej opozycji, bo na nic innego jej nie stać.

Przegrani nadal tkwią w nieodgadnionym zachłannym amoku rządzenia. Mimo złożonej przez rząd dymisji i powołania dwutygodniowej administracji centralnej, premier i jego funkcjonariusze podejmują dalekosiężne w skutkach decyzje, z czym będą musieli się zmagać nowi władcy. Prezydent państwa, co niepojęte, popada w konflikt z logiczną analizą swoich konstytucyjnych powinności i uprawnień. Ale pisowskiemu bojownikowi trudno bez rozkazu wybić się na samodzielność. Powierzył więc formowanie nowego rządu przegranej formacji, mając chyba świadomość, że to szkodliwe dla kraju, ale na pewno błogie prezesowi. Stąd decyzyjny marazm i ignorowanie woli wielomilionowej, przeważającej wyborczej części społeczności. Problem w tym, że wyborcy, tj. masowi pracodawcy zarówno prezydenta, jak i parlamentarzystów są pozbawieni skutecznych narzędzi dla bieżącego reagowania na czyny wybrańców. Takiej możliwości dostępują dopiero w dniach wyborczych głosowań. Innej drogi nie ma, a szkoda. W międzyczasie pozostają tylko przeróżne formuły wyrażania niezadowolenia, jak przykładowo uliczne demonstracje nieufności wobec rządzących. Ale cóż z tego, jeśli poselskie ławy zobligowane partyjnymi dyktatami lekceważą, w owczym pędzie, elektorskie oburzenie. Prym winna wieść koncyliacyjność, a nie pienia się zawiść, której przykładów w naszych historycznych annałach bez liku. Nie sposób zgłębić istoty dzisiejszych prawicowych wewnątrzczaszkowych przeobrażeń. Tam chyba zapanował partyjny niszowy konstans. Rządzenie krajem nie polega na wypełnianiu li tylko sobkowskiej partyjnej egoistycznej wizji, bo wówczas demokracja staje się karykaturą. Pomruki tracących władzę zawsze będą słyszalne, ale przesmyk ku normalności zostaje rozarty. Niechaj wreszcie dotąd rządzący zgłębią swoje bogobojno-patriotyczne fałszywie brzmiące koncyliacyjne okrzyki i przełożą je na pozytywistyczną robotę dla kraju. Niebywałą sztuką jest zjednywania oponentów, ale to umiejętność dostępna nielicznym, bo z pewnością tych kwalifikacji nie posiadał żoliborski prezes, który w swoim zatraceniu nieskrępowanie inicjuje kolejne konflikty z serialu „My – Oni”, a interesy kraju i obywateli zdeponował w swojej upadającej zagrodzie. Społeczny konflikt, to jedyna przez niego opanowana zarządcza umiejętność, i co smutne, znalazł wokół siebie bezwolnych apologetów, poczynając od prezydenta, premiera kończąc na perfidnym finansowym łupieniu szlachetnych intencji samorządów i profanując idee kół gospodyń wiejskich poprzez traktowanie ich statutowych wartości jako scenografii dla swoich tandetnych wystąpień. Obrzydliwość zazwyczaj kroczy w parze z politycznym oszustwem, a tego obfitość.

Bratobójcze szranki

Nie ma idealnej receptury na zarządczą bukolikę państwa i to taką, aby radość z decyzji

panujących nagle skutecznie nasączyła umysły elektoratu eliksirem bezwarunkowej obywatelskiej zgody. Nikt rozsądny tak radykalnego scenariusza nie oczekuje. Rzecz w tym, aby ten z ducha racjonalny wzorzec zyskał obywatelską aprobatę, zwłaszcza w tworzeniu ustawowych rozstrzygnięć ważkich dla kraju. Parlamentarne debaty, społeczne konsultacje, dialog, kompromisy, ekspertyzy fachowców, angażowanie specjalistów wysokiej rangi w realizację zadań państwa, kooperacja z opozycją etc., to zaledwie wybiórczy zestaw elementarnych narzędzi dla konstruowania statusu bezkolizyjnego, przyjaznego państwa. A to winno być bliskie sercu wszem politykom od prawa do lewa, tak przynajmniej wynika z ich publicznych deklaracji. Niestety wiecowa demagogia, a później sejmowe gadulstwo inkrustowane partyjnym tumultem nadal pozostaje w dysonansie wobec wyborczych obietnic. I chyba w tym punkcie tkwią istotne przyczyny tego, że w kraju właśnie natłokiem stoją, a dostatek obywateli zadyszka trąci.

W obszarze rozwiązywania społecznych problemów nie sposób znaleźć uniwersalnej bezkompromisowej zarządczej metody. Sztuką jest umiejętność posługiwania się dostępnymi organizatorskimi narzędziami tak, aby konsolidowały krajanów, a nie rozwierały antagonistycznych nożyc. Wątpliwe jest, że Nowogrodzka w swoim eklektycznym dogmatycznym woluntaryzmie i miałkiej uczoności nagle zrezygnuje z doskonalenia i kontynuowania odrażającego procesu zawiści, który już zdołał pogrążyć atmosferę przy wielu biesiadnych stołach Polaków. Prezes prawej i sprawiedliwej partii brnie dalej. Na przekór obywatelskiemu urnowemu wsadowi nie ustał w mnożeniu dysharmonijnych prowokacji. Nominalnie zwyciężyła jego partia, ale przelicznik iluzorycznego sukcesu dał mu wynik klęski, tak w sejmie, jak i w senacie. Okazuje się, że w rządzeniu państwem ważki jest zmysł koncyliacji, a on jest obcy nowogrodzkim giermkom, zaś oczywisty w autorytarnych systemach. Na szczęście jeszcze egzystujemy w demokracji i górę bierze pozytywistyczny trend budowania ojczyźnianego rozkwitu. Są jednak uzasadnione obawy, że dotychczasowi nawigatorzy państwowej nawy, łącznie z ich apologetą prezesem Narodowego Banku Polskiego, będą detonować arsenał zawiści wobec nowych rządców.

Wydaje się, że bojaźliwość podwładnych wobec prezesa prawej i sprawiedliwej partii, gruntowana materialnymi urzędowymi profitami przez niego dysponowanymi, zaćmiła umysły bezwolnych wybrańców, wypłukując z nich resztki poczucia zdrowego rozsądku. Nagła wyborcza klęska nie poskutkowała otrzeźwieniem. Tkwią w ułudzie własnej wizji. Mentalna odnowa dla wielu to mozolny niekończący się, często bezskuteczny proces, a trzeba pamiętać, że za sprawującymi dotąd władzę, stoi blisko siedmiomilionowa populacja rodaków. Jest nadzieja, że wśród nich stopniowo będzie się zwiększało grono sympatyków demokracji. Jest jednak nadal sporo hamulców, które ich będą powstrzymywały przed odważnym objawianiem swoich preferencji. Arsenał pokus płynących z nowogrodzkiej jest daleki od wyczerpania. Dlatego tak ważne stało się budowanie radykalnej pozytywistycznej atmosfery, coś na miarę tej, jaka ogarnęła rodaków podczas pierwszej przełomowej solidarnościowej ekspansji. Ale czy uda się powtórzyć ten intelektualny zwrot; oby ułudą nie trącił.

Wglębiając się w pisowskie rządy, te wcześniejsze (2006-2007) i dotychczasowe, ośmioletnie, można odnieść wrażenie jakoby władza sprawowana przez tę partię już wówczas rzuciła rękawicę własnemu państwu i demokracji. Na czoło jej wizji wybił się zaimbek „My”, i to on nadal jest drogowskazem władczej marszruty rodzimej prawicy. Swoistej rangi doznał proces podporządkowywania instytucji państwa partyjnym potrzebom. Efekty tej antykonstytucyjnej destrukcji są imponujące i wszem znane, ale warto je przypominać, jak chociażby zdemolowanie funkcji Trybunału Konstytucyjnego, najważniejszego sądu rozstrzygającego

spory o prawość działania organów państwa wedle ustawy zasadniczej; brutalne podporządkowanie prokuratury ministrowi od sprawiedliwości i spowodowanie, że jako jedna z nielicznych nie przystąpiła do Prokuratury Europejskiej (EPPO); polityczny wybór sędziów - członków Krajowej Rady Sądownictwa (KRS), co jest kwestionowane także przez międzynarodowe trybunały sprawiedliwości i w efekcie spowodowało jej usunięcie z Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa (2020 r.); galopujące, stadne mianowania przez prezydenta RP z poręki wspomnianej neo-KRS zastępów sędziów, pogłębiając merytoryczne wątpliwości w obszarze wyrokowania; okaleczanie Sądu Najwyższego, jak i niższych sądowniczych instancji; bolesne traktowanie wolnej kultury m.in. przez nakazy zdejmowania z afiszów w publicznej przestrzeni dzieł, co do których autorów ważni pisowscy urzędnicy mają awersję, bez zgłębienia ich przesłań; perfidne upartyjnienie mediów zwanych publicznymi niemal całkowicie wyzbytych pluralizmu, lecz tryskających partyjną propagandą; betonowanie anachronicznej zażyłości tronu z ołtarzem, co bardziej szkodzi ewangelicznej wspólnotie niżli politykierom, dla których ważne są tylko głosy parafian, mentalnie profilowanych przez proboszczów, kroczących ku rozstajom swego posłannictwa, lecz w nadziei na materialne rządowe subwencje; pozostawianie pokażnej części budżetu państwa poza parlamentarnym nadzorem, a to przecież podatki obywateli etc. To tylko wybiórczy zestaw problemów zafundowanych nowemu rządowi przez prezesa tzw. prawej i sprawiedliwej partii oraz usłużnych mu ministerialnych popleczników, zresztą wcześniej przez niego promowanych. Przytoczone ilustracje są zaledwie częścią problemów pozostawionych do rozwikłania tym, którzy dotąd przez władców byli i nadal są nikczemnie stygmatyzowani znakiem „Oni”, a chwilami wprost wyklinani z polskiego narodu i określani jako sługusy Moskwy, Berlina, Unii Europejskiej (UE), ale także lumpami, niemieckimi agentami etc. Aberracja, to nader łagodna stylizacja sposobu zarządzania państwem w edycji nowogrodzkiej partii. Lawinowo płynące stamtąd puste hasła o patriotyzmie, mocarstwowości, suwerenności etc. nijak się mają do czynów partyjnych aktywistów, których patronem była i jest prywata, a nie tworzenie społecznikowskiego klimatu w imię dobra RP. Nepotyczne skłonności w ogaławianiu wspólnego podatkowego dobra pozostają w takim wzmożeniu, że wielu z nich nie dostrzegło kresu swej autokratycznej zarządczej roli. W porę nie pojęli też istoty wyborczej przegranej i racjonalnych odpowiedzialnych zachowań polityków w takiej sytuacji. Ale nadal ich partyjny prezes traktuje zwycięski blisko dwunastomilionowy elektorat jako pozbawiony patriotyzmu a nawet zrzuca im zdradę. Pamiętać należy, że każda obelga wobec deputowanego i z nim sprzymierzonych wyrażana z parlamentarnej trybuny dotyczy w równej mierze ich elektoratu. Zatem wskazana jest rozwaga i wstrzeźliwość w oskarżeniach.

Nadzieja powrotu pokonanych do władzy zawsze istnieje, ale ich droga nie może być brukowana wyłącznie zaimkami: „My – Oni”, lecz etalonem wzmacniającym społeczną jedność. Inna formuła wyklucza bieg ku wspólnemu dobru. Dla wygranych i przegranych rewitalizacja stosunków międzyludzkich musi być priorytetem, a nie trwaniem we wrogich transzejach. Wyborcy oczekują czynów a nie słownych pojedynków, bo tego było i jest w nadmiarze. Nowa władza, zgodnie ze swoimi zapowiedziami będzie oceniać czyny poprzedników, co naturalne, bo musi sprecyzować rubieże swego startu. Szanując reguły audytu i jego wyniki, których nie wolno ignorować, ale dla porządku rzeczy należy poddać je adiustacji i to w szerokim kompetentnym gronie fachowców, aby uniknąć tego, co moralnie najgorsze, tj. tworzenia aureoli zemsty na poprzednikach. Trudna to robota, ale warto ją podjąć, zwłaszcza po tak nieudolnych rządach, kiedy to wewnątrz kraju jadowitością promieniuje, dezawuuując pozycję RP w Europie i świecie. „My - Oni” w społecznym odbiorze brzmi jak zatarty silnik

wymagający natychmiastowej naprawy. Oby nowym władzom ten remont się powiódł.

Nowogrodzka w geopolityce

Krajowy duet: „My – Oni”, intensywnie uprawiany, przebił się na zagraniczną estradę, wywołując konsternację wobec dotychczasowej pozycji Polski. Tkwimy w sercu Europy, ale nieszczęściem jest to, że pisowska władza traktuje międzynarodowe otoczenie jako „Oni”, a to już straceńcza opcja, groźna dla naszej suwerenności. Sobkowskie państwo, którym za sprawą teraźniejszych rządów Polska jest najbardziej podatna na utratę prestiżu, tak ważnego elementu definicji suwerenności. Kontynuowane, wbrew ojczyźnianemu bytowi, niebezpieczne manewry wobec międzynarodowego otoczenia, z którym tworzymy wspólnotę jest odrażające.

Wewnątrz krajowa i międzynarodowa polityka państwa, to kompatybilność determinująca trendy rozwojowe kraju, co w postępującej globalizacji jest aż nadto czytelne i nikogo rozsądnego owa korelacja nie powinna dziwić. Polityczne zdarzenia na ojczystym podwórku mają natychmiastowe refleksy w światowych dyplomatycznych giełdowych notowaniach, co w dobie informatyki jest oczywistością. A jednak tak prostego równania rządząca prawica nie potrafi rozwikłać. Upaja ją zasklepienie się w partyjnym samouwielebnieniu, zaś interes kraju i obywateli stanowi dla nich przeszkodę w idyllicznej egzaltacji.

Władców kraju zaślepił przemożny imperatyw trzymania się u władzy, zaś spoiwem stała się wyrazista niechęć do międzynarodowego otoczenia, w tym Unii Europejskiej, a w niej do wysublimowanego naszego granicznego zachodniego sąsiada. Niechęć do demokracji, praworządności, jak i negatywny stosunek do migrantów łącznie zakreśliły kierunki polityki zagranicznej pisowskiego rządu, jeśli takową posiadał, bo jak dotąd, to przekątna w europejskich standardach, wynikająca w prostej linii ze sposobu uprawiania wewnętrznej, zgubnej polityki, konfliktującego społeczeństwo i potęgującej niechęć do międzynarodowego otoczenia. Nowogrodzcy politykierzy doskonale opanowali metodykę posługiwania się aż tak ordynarnymi narzędziami władzy. Innych nie znają. I bodaj to wieszczyczo wyborczą klęskę tej formacji, czego w porę nie dostrzegła.

„My - Oni”, to dotychczasowa synteza sprawowania rządów przez prawą i sprawiedliwą partię, co, jak pokazały wyniki ostatnich październikowych wyborów, u większości społeczeństwa wywołała wymiotne refleksy. Okazuje się, że ci butni, uważający się za opatrnościowych mężów w chwili swojej klęski nie potrafią godnie łamać brzeszczotów szabel. Mają też kłopot z odnalezieniem się w nowej rzeczywistości, co nie oznacza, że opuściła ich wola trwania w dotychczasowej zaściankowej zarządczej wersji. Nadal uważają się za urnowych, kartkowych zwycięzców i tu mają rację, ale nie dostrzegają, że stali się bezzębnym bytem, pozbawionym sprawczej parlamentarnej mocy. Tak to z reguły bywa, kiedy partyjnym logo staje się wyraz „My”. A to on wypełnił umysły prawicowej kamaryli podczas sprawowania przez nią rządów. Natomiast „Oni”, tj. pozostała większościowa społeczność, wedle ich rozumowania, winna okazywać im wdzięczność za heroiczne wysiłki na rzecz społecznego dobra i zaprzestać wypowiadania jakichkolwiek polemicznych zdań, nawet konstruktywnych. Co gorsze, ten zaimek nadal zniewala umysły przegranych, a za główną arenę żonglowania nim wybrali sejmową kopułę, czego nieudolnie i w żenującym formacie dowiedli w trakcie pierwszych powyborczych obrad Izby. Ogląd tego poszedł w świat i stał się przedmiotem dyplomatycznych analiz, co truizmem tchnie, a to za sprawą niefrasobliwości naszych, patriotyzmem siebie ozłacanych rządzących. Zainteresowani wyciągną z tego wnioski oczywiście z korzyścią dla siebie. Koszty tej nieodpowiedzialności rosną. Pisowców pożera egocentryzm, także w

relacjach ze światem.

Trzeba mieć nadprzyrodzoną wyobraźnię, aby dostrzec pozytywy metodyki uprawiania dyplomacji przez pisowską partię, co mogłoby w jakikolwiek sposób wzmocnić naszą pozycję na zagranicznej niwie. Natenczas efekt tego taki, że polscy mandatariusze wprowadzicie zasiadają przy różnych międzypaństwowych negocjacyjnych stołach, przy których najczęściej milczą, a jeśli zabierają głos, to jest on albo słabo słyszalny, albo ignorowany.

Jest kłopot z wyborem bezkolizyjnego traktu powrotu instytucji państwa do szanowania konstytucyjnych zasad, także w obrocie międzynarodowym. W tej chwili trudno wskazać państwo, z którym pisowski rząd pozostawałaby w konstruktywnych dla nas sojuszach, no może poza niektórymi egzotycznymi krajami o interesach obojętnych wobec naszych, ale będących atrakcyjną formułą dla turystycznych eskapad dygnitarzy na koszt podatników. To kolejna ich prywatna.

Gdzie więc się zapodziały prezesowskie ideały o budowaniu solidnej i bezpiecznej Polski? Okazuje się, że były i nadal są czczone werbalnymi zapowiedziami pozbawionymi pragmatycznych procedur, lecz w pełni obliczonymi wyłącznie na krajowy elektorski rynek. Prezes zdaje się ma problemy ze zgłębieniem istoty korelacji polityki krajowej z zagraniczną. Być może wizję o bliskiej nam krainie zachodu i świecie przysłoniła mu dziwacznie pojęta atmosfera Wiednia podczas krótkotrwałego tam pobytu i to w odległych czasach, co dzisiaj myślką trąci.

Jego jaźń permanentnie wypełnia idea „My”, którą hołubi, ale zarazem nie zdaje sobie sprawy, że wyborcze skreślenia na rzecz jego partii daje jej formalne zwycięstwo, ale w mandatowym przeliczniku klęskę. W dużej mierze to rezultat braku umiejętności tworzenia przez niego koalicyjnych układów. Wodzowskie urojenia zostały zdruzgotane. Ale w sejmowych ławach, za jego plecami, nadal zasiadają mu powolni, którzy z wyrachowaną namiętnością dla uznania w oczach prezesa i w zaślepienym amoku podejmują się zakłócania i to w stadionowym piłkarskim trybie, przebiegu pierwszych sejmowych debat. Ślepo też kwestionują wszystko, co jest przedkładane Wysokiej Izbie pod parlamentarną debatę, poza oczywiście prezesowskimi pomysłami. Nieskrywana lubość wicepremiera i prezesa w jednym, także jego otoczenia do politycznej anarchii z logiem „My” jest nader oczywista i zniewoliła wiele umysłów, a to blisko siedem milionów wyborców. Prywata w stylu: coś za coś, nie może stać się trywialnym handlem rodowymi niepodległościowymi dobrami państwa. Można to odczytywać jako symptom dywersji lub prostackiego sabotażu. Oby to nie było prawdą.

Prezes pisowskiej partii chorobliwie lekceważy międzynarodowe traktaty ratyfikowane przez Trzecią Rzeczpospolitą, z których płyną nie tylko idee wzajemnych relacji, ale nade wszystko międzynarodowy prestiż i finansowo - intelektualne korzyści dla kraju. Zarządzający dotąd państwem nie dostrzegają tych czytelnich sygnałów, a to właśnie one w niebłahym wymiarze wzmacniają naszą suwerenność, której nie sposób zagwarantować wyłącznie krajowymi ludycznymi barwnymi widowiskami, a na ich tle jałowymi oracjami dygnitarzy. Nijak się to ma do wzmacniania prestiżu kraju. Natarczywe populistyczne zawołania do obrony suwerenności kraju nabierają naiwnego i złowieszczonego posmaku, wtapiając się w formułę niebezpiecznych bezmyślnych zaklęć o rzekomo grożącej nam utracie państwowości, a nawet anihilacji. Odezwy prezesa o umacnianiu naszej suwerenności, której na ten czas nikt i nic nie zagraża, jest prymitywną szkodliwą indoktrynacją, równoważną z podsycaniem permanentnie trwającego politycznego konfliktu „My – Oni”. Ale to jedyny coraz bardziej tandetny oręż prezesa.

W dziejach RP było wiele przedziałów, w których pozornie niewinne zaimki „My – Oni” zatrwały godziwy rozwój kraju, co nieraz kończyło się tragedią: zabory, wojenne konflikty, wytyczanie geograficznych granic państwa bez nas etc. Przyczyn wiele, ale jedna nie budzi wątpliwości, to wewnątrzpaństwowe antagonizmy, które niekiedy krwią spływały, a już na pewno nie gruntowały suwerenności kraju w jego pozytywistycznych światowych osądach.

Dzień dzisiejszy, po ośmioletnich prawicowych rządach, jest bliźniaczo podobny do niektórych smutnych politycznych przednówek i ich skutków. Na szczęście pokaźna część społeczeństwa dostrzegła symptomy zagrożeń i w niespotykanym dotąd zwartym ordynku wniosła ku temu skuteczny sprzeciw. Nastął nowy duch, ale nadal jakoby go nie było i to za sprawą dotąd rządzących. Dla tych ostatnich pojęcie honoru stanęło na krawędzi pójścia w morza toń. Przedłużanie agonii perfidnymi sposobami, aby utrudnić rządzenie następcom jest krótkowzrocznością odległą od umiłowania ojczyzny. Miejsce to wypełniły partyjne nakazy płynące z zawistnego nowogrodzkiego źródła, które nie służyły dobru ogólnemu, a już na pewno nie wzmocniły naszej suwerenności. Po wyborczej wygranej klęsce nastął dla nowogrodzkiej trudny czas, co dostrzec można chociażby w niechęci prawicowych rządzących do publicznych rozmów, dziennikarskich wywiadów etc. Nie wyzbyli się natomiast czynów mających anarchizować pracę swoich następców. Namiastką tego są pierwsze obrady Sejmu RP, podczas których przegrani zaczęli zachowywać się jak część nieodpowiedzialnych stadionowych kibiców.

Rząd zwycięskiej koalicji jest już skompletowany, ale z woli prezydenta RP, tkwiącego swoim obskurnym majestatem w ratowaniu partyjnych druhów, a nie polskiej racji stanu, sygnalizuje tym samym, że nowi decydenci będą kroczyć po wyboistej drodze między pałacem prezydenckim a premierowskim urzędem. Dotychczasową gładź zastąpią kocie łby, jak to już w dziejach RP bywało. Tradycja to ważka siła sprawcza w naszych dziejach pod jednym wszak warunkiem, że jest sensownie i z umiarem dozowana.

Jawi się jeszcze inna niepewność, a mianowicie: oby nowi władcy, po niewczasie nie wtłoczyli się w zgubne, ale ponętne, zarządcze koleiny spięte kłamrą „My – Oni”. Ostrożności nigdy za wiele, a perspektywa tworzenia koalicyjnych układów nie jest aż tak odległa.

Janina Łagoda